ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. Grudnia. № 49. Roku 1855.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA
Południowéj Ameryki.

Z dziennika podróży młodego Anglika.

(Ob. N. 47. 48. Rozmaitości.)

III. Skalpery. *)

Ściemniło się już prawie zupełnie, gdyśmy przybyli do obozu *Skalperów*. Nikt nie zważał na nasze przybycie. Ludzie około których przechodziliśmy, zaledwie na nas spojźrzeć raczyli. Żaden nie ruszył się ze swego miejsca, ani nie przerwał swego zatrudnienia. Pozwolono nam rozsiodłać konie i umieścić je, gdzie nam się zdawało najlepiéj.

*) Dla zasłonienia pogranicznych prowincyi od napadów dzikich Apachów, rząd tamtejszy uorganizował zbrojną bandę, złożoną ze śmiałych awanturników wszystkich narodów. Banda ta niebyła nigdy na stałym lądzie, tylko każdy z jéj wojowników dostaje pewne wynagrodzenie za każdą okazaną skórę z włosami zdjętą z czaszki dzikiego. Taka skóra zowie się w języku krajowym *scalp*, a ci którzy na nie polują: *myśliwymi na skalpy*, albo *Skalperami*. — Seguin w nadziei odszukania i odbicia swego dziecka, przyjął był dowództwo nad bandą takich *Scalperów*. — Trzeba dodać, że dzicy dostawszy w moc swoją swoich nieprzyjaciół, odpłacają im się w podobny sposób, a zdartemi z nich *scalpami*, zdobią swoje tryumfy wojenne i obrzędy religijne i narodowe.

Byłem zmęczony jazdą, bo po mojéj słabości piérwszy raz siedziałem na koniu. Rozciągnąłem zatem płaszcz na ziemi i usiadłem wsparty o pień drzewa. Byłbym chętnie zasnął, ale niezwyczajność przedmiotów, które mię otaczały, draźniła ciągle mój umysł; patrzałem i słuchałem z żywą ciekawością.

Trzebaby mi użyć pędzla, aby dać obraz tego co widziałem w koło siebie, a i tak byłby to obraz bardzo słaby. Nigdy widok dzikszy i bardziéj malowniczy nie uderzał wzroku ludzkiego. Przypominał on mi żywo sztychy wyobrażające obozy rozbójników w ponurych wąwozach Abruzzów.

Nie mało już czasu upłynęło od owéj epoki, w któréj prowadziłem to życie awanturnicze, więc zaledwie najwyrazistsze punkta tego obrazu opisać jestem w stanie. Szczegóły już mi dziś wypadły z pamięci; ale wtedy najmniejsze drobnostki uderzały mię swoją nowością, a odrębny ich charakter zajmował moją uwagę. Powoli oswoiłem się z temi rze-

czami, a następnie zapomniałem o nich jak o codziennych, zwyczajnych wypadkach.

Obóz rozłożony był nad brzegiem del Norte, śród polany otoczonéj drzewami bawełnianemi, których gładkie pnie wybiegały po nad gąszcze palm karłowatych i tak zwanych *bagnetów* hiszpańskich. Kilka poszarpanych prawie w kawałki namiotów stało tu i owdzie; obok nich stały szałasze pokryte skórami zwierząt na sposób indyjski. Największa jednak część obozujących zbudowała sobie schronienia ze skóry bawoléj, rozpiętéj na czterech, pochyło wbitych słupach. Prócz tego wśród gęstwiny można było widzieć rodzaj chat skleconych z gałęzi a nakrytych liściem palmowém, albo sitowiem rosnącém nad rzeką.

Ścieżki wyrznięte między krzakami prowadziły we wszystkich kierunkach. Wśród zielonéj łąki stały zgromadzone razem muły i *mustangi* (rodzaj koni miejscowych) powiązane u kołków, na długich sznurach. Wszędzie pełno było porozrzucanych pak, siodeł, uzd, — opartych na pniach, zawieszonych na gałęziach. Pordzewiałe szable chwiały się w powietrzu wisząc u wejść do namiotów i szałaszów. Sprzęty obozowe wszelkiego rodzaju, jakoto: kotły, siekiery, walały się po ziemi.

Około wielkich ognisk, na których paliły się całe drzewa olbrzymie, siedziały grupy ludzi. Nie grzali się, bo temperatura nie była wcale zimna, tylko piekli kawałki zwierzyny, i palili fajki najrozmaitszych rozmiarów i kształtów. Niektórzy czyścili broń, lub naprawiali sobie odzież.

Brzmienia wszystkich języków uderzyły naraz moje ucho; była to mięszanina złożona z kawałków języka francuskiego, hiszpańskiego, angielskiego i indyjskiego. Wykrzykniki krzyżowały się w powietrzu, a każdy charakteryzował narodowość do któréj należał: „*Hilloa, Dick! hung it, old hoss, what are ye bout?*“ (Hola! Dik! podajno mi to — héj stara babo, co tam robisz?) „*Sacrr...! — Cavambo!*“ — „*Pardon Monsieur*“ — „*By the eternal eartaquake!*“ (Precz wieczne trzęsienie ziemi!) — „*Vaya, hombre, vaya!*“ — „*Carajo!*“ — „*By Gosh!*“ — „*Santisima Maria!*“ — „*Sacrrrr!....*“

Zdawało się jakby rozliczne narody zesłały tutaj reprezentantów swoich, na złożenie z przekleństw popisu.

Wśród tego zbiegowiska utworzyły się trzy główne grupy. W każdéj panował język oddzielny, i ubiory ludzi każdą z nich składających, miały między sobą pewne podobieństwo. Najbliższa mnie grupa mówiła po hiszpańsku: byli to Mexykanie. Oto, mniéj więcéj, o ile sobie przypominam, opis ubioru jednego z nich.

Calzoneros z zielonéj jedwabnéj materyi, krojem podobne do spodni majtków: krótkie w pasie, obcisłe na biodrach, poniżéj szersze, u dołu pokryte skórą czarną ozdobioną wytłoczeniami i wyszyciami, otwarte na szwie zewnętrznym od bioder po uda, ozdobne haftem i całemi szeregami tasiemek o srebrnych skówkach na końcu. Rozpory są w téj

chwili otwarte, bo wieczór jest gorący, i pozwalają widzieć pod spodem *calzonillos* z białego muślinu, w szerokich fałdach spadające aż po kostki. — Buty ma z wyprawnéj skóry łaniéj koloru naturalnego. Skóra ta jest czerwoniawa, obuwie zaokrąglone na końcach, a obcasy uzbrojone ostrogami, z których każda najmniéj funt waży i opatrzona jest kółkiem trzy cale średnicy mającém. Te ostrogi starannie wyrobione, przypięte są do butów na czarnych rzemiennych pasach. Małe dzwoneczki *campanillas* wiszą u każdego zęba olbrzymich kółek i wydają brzęk za każdém poruszeniem nogi. *Calzoneros* nie mają szelek, tylko spięte są szerokim pasem, albo szarfą jedwabną i szkarłatną. Taki pas otacza kilka razy ciało, wiąże się w tyle, a końce jego ozdobione frendzlami, wiszą wdzięcznie na lewém biodrze. Kamizelki niema — tylko kaftan z haftowanéj brunatnéj materyi, wcięty, krótki z tyłu nakształt greckiego – a z-pod niego widać koszulę. Koszula, o szerokim kołnierzu haftowana z przodu, świadczy o niezmiernéj zręczności jakiejś *poblany* o czarném oku. *Sombrero* o szerokich skrzydłach, wszystko to okrywa swym cieniem; jest to ciężki kapelusz, z czarnéj glancownéj skóry, opasany szerokim srebrnym galonem. Żołędzie także srebrne wiszą z boku, i nadają temu ubraniu głowy odrębną fizyognomią. — Z ramienia wisi malowniczy płaszcz *serapé*, pendent, torba, sztuciec na którym zwykle opiera się ręka, pas skórzany za którym sterczy para pistoletów małego kalibru, długi nóż hiszpański zawieszony prostopadle na lewém biodrze, uzupełniają strój, który wziąłem za typ mojego opisu.

Z małemi zaledwie odmianami, ludzie składający najbliższą grupę, ubrani są tak samo. Niektórzy z nich mają *calzoneros* skórzane i takiż kaftan zapięty z przodu i z tyłu. Inni zamiast barwistych *serapów* mają na sobie płaszcze jakich używają Nawajowie, w szerokie czarne pasy.

Innym spada z ramion wspaniała i piękna *manga*. Po większéj części obuci są w *mokassiny;* najubożsi tylko, a tych mała liczba, mają na nogach proste *guaraché*, sandały na wzór tych, jakie noszą Aztekowie.

Fizyognomia tych ludzi jest ponura i dzika; ich włosy długie i szorstkie są czarne jak skrzydło kruka; zaniedbane brody i wąsy pokrywają ich twarze; czarne, dzikie oczy, błyszczą im z-pod szerokich skrzydeł kapeluszy. Są w ogóle małego wzrostu; ale w ciele ich widać giętkość oznaczającą siłę i czynność. Członki ich dobrze zbudowane, zatwardniały od trudów i niedostatku.

Wszyscy, a przynajmniéj prawie wszyscy są rodem z folwarków Mexykańskich; mieszkając na granicy, mieli nierzadką sposobność walczenia z Indyanami. Są tak zwani *ciboleros* *) *vaqueros*, *rancheros* i *monteros*, którzy mając częste styczności z góralami, i strzelcami rasy gallickiéj i saxońskiéj, zamieszkującemi równiny wschodnie, nabrali pewnego sto-

*) Tak nazywają tych, co polują na bawoły i sprzedają ich mięso.

pnia śmiałości i odwagi, rzadkiéj między ich krajowcami. Jest to pograniczna kawalerya mexykańska.

Palą oni cygaretta, które skręcają w palcach, obwijając je w liście maisu. Grają w *monte* na płaszczach rozciągniętych na ziemi, a gra idzie o tytoń. Słychać przekleństwa i wykrzykniki „*Carajo*“ tych, którzy przegrywają; wygrywający zanoszą gorące podziękowania do „*Santissima Virgen!*“

Mówią narzeczem zepsutego hiszpańskiego języka; a głos ich jest ostry i niemiły.

Niedaleko od nich, druga grupa ściągnęła moją uwagę. Ci którzy ją składali, różnili się od tamtych pod wszystkiemi względami: w głosie, w ubiorze, w języku, w fizyognomii. Na piérwszy rzut oka poznać można było Anglo-Amerykanów. Byli to trapery, strzelcy z łąk i górale.

Wybiorę między niemi także jeden typ, który da wyobrażenie o wszystkich.

Oto jest: Stoi prosto, oparty na swoim długim karabinie i patrzy w ogień. Ma sześć stóp wysokości, a jego budowa oznacza dziedziczną siłę saxońską. Ramiona jego, to pniaki młodego dęba; ręka którą trzyma na lufie strzelby, jest chuda i muszkularna. Szeroką twarz kryją mu w części gęste faworyty, które się łączą ze sobą u dołu, równie jak z brodą i wąsami. Zarost ten nie jest ani blond, ani czarny, ale ciemno-brunatny, jaśniejszy cokolwiek około samych ust, gdzie połączone działanie wody i słońca, nadało mu kolor ambry.

Oko jego jest siwe, małe i lekko sfałdowane ku kącikom. Spojżrzenie silne, najczęściéj nieruchome, ale przenikające do wnętrza. Włosy nosi średniéj długości. Widać że je obcinał za ostatniéj swojéj bytności w jakim składzie handlowym, albo w osadach; płeć jego chociaż bronzowa, nabrała tego koloru jedynie w skutek upałów; niegdyś była biała jak u blondynów. Fizyognomia jego ma w sobie coś nakazującego; można powiedzieć, że jest piękna. — Wyraz jéj jest w ogóle pełen odwagi umiarkowanéj dobrym humorem i wspaniałomyślnością.

Ubior człowieka, którego obraz chce nakréślić, składa się z wyrobów krajowych; to jest z wyrobów jego własnego kraju: łąk i lasów górskich. Materyały do tych wyrobów zebrał on za pomocą swojéj kuli, i sam je wyrobił, własnemi rękoma. Niektórzy jednak z nich pomagają sobie w téj pracy w chwilach spoczynku, biorąc do swych szałaszów dziewczęta indyjskie z pokoleń Sioux, Crows, albo Chyennów.

Ubior ten składa się z bluzy z wyprawnéj skóry danieléj, którą za pomocą dymu uczyniono ciągłą i podatną jak rękawiczka; wielkie kamasze sięgające aż po pas, i mokasiny z téj saméj materyi, z podeszwami z grubéj skóry bawoléj.

Bluza ściągnięta w pasie, a otwarta na piersiach, i na szyi kończy się eleganckim kołnierzem, który spada na barki. Pod spodem widać koszulę z materyi cieńszéj, to jest ze skóry antylopy, sarny lub żółtego daniela. Na głowie

ma czapkę z *rackoona* (rodzaj żbika), ozdobioną na przodzie pyskiem zwierzęcia, a z tyłu strzępiatym ogonem, który jak pióropusz spada na lewe ramię.

Przybory jego mieszczą się w worku na kule, zszytym z niewyprawionéj skóry kota górskiego, i z rogu na proch w kształcie pół księżyca, na którym widać wyrznięte interesujące wspomnienia. Uzbrojony jest w długi nóż, krzywą szablę zwaną *bowie*, i w ciężki pistolet, starannie przywiązany do rzemienia, którym się ściąga w pasie. Do tego dodać trzeba jeszcze strzelbę długą na pięć stóp, ważącą dziewięć funtów, a tak prostą, że kolba zdaje się być przedłużeniem linii lufy.

W całym ubiorze, przyborach i uzbrojeniu mało znać starania o ozdobę i elegancyą, jednakże krój bluzy na wzór tuniki nie jest bez wdzięku. Frendzle około kołnierza i kamaszy mają nawet pewien styl, że tak powiem, a w czapce z *rackoona* widać pewną kokieteryą, która okazuje, że ten co ją nosi, nie jest zupełnie obojętny na swoję powierzchowność. — Mały woreczek, pięknie wyszyty pstremi kolcami jeża, wisi na jego piersi.

Czasami właściciel spogląda nań z umileniem; jest to jego woreczek na fajkę; zakład miłosny jakiéj dziewczyny o czarnych oczach, z agatowym zapewne włosem, mieszkanki tych dzikich okolic.

Gromada ludzi, tak samo prawie ubranych, stoi około tego, którego portret skréśliłem. Niektórzy mają na głowach głębokie kapelusze z siwéj pilśni, inni czapki ze skóry kota; ci mają bluzy jaśniejsze i żywszemi naszyte kolorami; drudzy przeciwnie bluzy mają zużywane, podarte, poczerniałe od dymu; ale łatwo ich wszystkich rozróżnić od innych po ogólnym charakterze ubrania, i nie można niezgadnąć od razu, że to są prawdziwi górale.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZAGRODA WIEJSKA.

Powiastka z piérwszych lat XIX wieku.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dokończenie. Ob. Nr. 43. 44. 45. 46. 47. 48 Rozmaitości.)

Epilog.

Było to w kwietniu. Śniegi i lody
Spłynąwszy z ziemi, okryły młodéj
Trawki zielone i miękkie puchy.
Zdala, wśród ciszy wieczora głuchéj,
Na anioł Pański, z rosą po błoniu
Płynęły dźwięki. Wolno ua koniu,
Po świeżym dészczem zwilżonéj drodze
Suuąłem lekko, puściwszy wodze
Memu karemu.

A byłem młody!
Jednak przyćmiła błękit pogody
Młodzieńczéj, chmura. Chłód wiał ze świata
Na pierś spragnioną, a myśl bogata

Niedawno w kwiaty, dziś senna, zwiędła,
Ponury wątek przyszłości przędła.

Kochałem dziéwczę — wzajem kochany;
Przecież jéj dworku skromnego ściany
Rzucałem właśnie na długie lata:
Bo nędzne względy marnego świata,
Wstrzymując polot młodzieńczéj chęci,
Zmusiły wygnać Zosię z pamięci,
Wygnać nazawsze....

Toż mnie cień blady
Ścigał dziéwczęcia. Widziałem ślady
Łez w jasném oku, i czułem jeszcze
Spojźrzenie biédnéj, trwożne, złowieszcze,
Co jak zraniona gołąbka biała,
Przy pożegnaniu na mnie rzucała.

Dumałem senny w dziwnéj goryczy:
Mącił mi duszę głos tajemniczy,
Szepcząc wyrzutu groźnemi słowy;
Pierś niby kamień tłoczył grobowy;
Głowa płonęła.

A tu przed okiem,
Wiosenny obraz z całym urokiem,
Corazto wdzięki rozwijał nowe....
W górze pląsały chmurki różowe,
Las szumiał zdala, śpiewacy leśni
Słali do nieba wieczorne pieśni,
I na fujarce fleciło dziécię.
Oj cudnież było na Bożym świecie,
Cudnie szczęśliwym!

Z kościołka wieży
Coraz to głośniéj płynie dźwiek świeży.
Tymczasem zwolna stąpa mój kary:
Aż wyjźrzy z za drzew kościołek stary,
I dwór opodal.

Wtém spojźrzę z boku:
Niby własnemu nie wierzę oku...
Znaną mi dobrze postać Prandoty
Za cmentarnemi dostrzegam wroty.
W ponurym jodeł i świerków cieniu,
Zomszorym laty siedział kamieniu.
Blask go otaczał wieczornéj zorzy,
A u stóp grobu, przy męce Bożéj,
Widzę klęczące nadobne dziatki.
Pośrodkiem postać jaśnieje matki,
Jakoby róża w pełnym rozkwicie
Wśród drobnych pączków.

Otarłem skrycie
Rzewną łzę w oku, bo mi się zdało,
Że widzę Zosi méj postać białą
W rodziny kółku. O! ileż razy
Takie myśl moja snuła obrazy!
Wiążę karego konia u płota,
Idę na cmentarz. Spojźrzy Prandota,
I jakby ze snu nagle zbudzony
Wita mię, ściska, jak brat rodzony.
O! bośmy niegdyś w jednakim bolu
Zbratani byli, na jednym polu
Krew lejąc społem!

Pod cichą strzechą,
Marcin się rychłą skrzepił pociechą
W rodzinném kole. Ja młodszy laty,
Goniłem jeszcze ułudne kwiaty,
I przepomniałem wśród myśli wielu
O wiernym druhu i przyjacielu.

— „Witajże Janku, witaj mi drogi! —
Rzecze Prandota. — Toć w moje progi
Zawadzisz przecie?“

Ja rad przystałem,
Bo zdawna sercem kochałem całém
Pana Marcina.

Powstała z ziemi
Nadobna Marya z dziatki hożemi.
Marcin z rodziną poznał mię całą,
I w mgnieniu oka toż mi się zdało,
Że się przez długie już znamy czasy.
A kiedy gwarzym, za blizkie lasy
Zapadł brzask świetny wieczornéj zorzy,
I wnet ponuro po ziemi Bożéj
Cień się roztoczył, jakby żałoby
Grubą oponą.

Marcin dwa groby
Wskazał mi ręką, ukryte cieniem
Zielonych jodeł: krzyż je ramieniem
Osłaniał oba.

— „Patrz! — rzecze — Janie!
Tyleż po człeku jeno zostanie
Na Bożéj ziemi! Silnież tu biły
Serca, nim w głębi chłodnej mogiły
Znalazły spokój: bo za żywota,
Rychło im gwiazda zagasła złota.
A przecież pasmo długiéj niedoli
Nie zamąciło pobożnéj woli
Świętego źródła, w cichém ich łonie;
Z modlitwą w niebo nnosząc dłonie,
Słnżyli Bogu szczérze a wiernie,
Choć ostre w pasmo żywota ciernie
Wplotła im Jego dłoń niezbadana!...
I zwolna, stale dążąc do Pana,
Z uśmiechem w ustach, z czoła pogodą,
Do grobn duszę donieśli młodą!
To się nazywa spełnić żywota
Ciężkie zadanie! Stary Prandota
Takim być umiał: taką została
Zacna niewiasta co proch jéj ciała
Tu się pod miękką kryje murawą.
Dni im ubiegły tęskno a łzawo...
Toż Pan pociechę dał im ostatnią,
Bo ona dłonią zamknęła bratnią,
Śmiercią zakrzepłe starca powieki,
I wnet spoczęła przy nim na wieki
Wierna do grobu. A Pan na niebie
Przyjął ich dnszę społem do siebie
Pokój im wieczny."

W Marcina oku
Rzewna łza w szarym błysła pomroku
Skinął, i ciche cmentarza wrota
Przeszliśmy zwolna. Kary u płota
Rżał niecierpliwie, i grzebał nogą
Dosiadł go starszy chłopczyk, i drogą
Pomknął jak strzała; a my przed gankiem
Spoczęli, skryci zielonym wiankiem
Starych kasztanów. A wtém uderza
Dzwonek: w komnacie czeka wieczerza.
Idziemy społem: płomień ogniska
Na białe ściany komnaty błyska.
Jacka oblicze, by ogniem strzela,
I jasno stara lśni karabela.
Cicho i ciepło w domowym progu;
Wszystko tam składnie: znać że po Bogu
Jasno się wije pasmo żywota.
Bo gdzie miłości splata nić złota
Nawzajem serca, myśli i duchy:
O! tam promienna gwiazda otuchy
Świeci choć za mgłą!

Tydzień pod strzechą
Gościłem z dziwną serca pociechą.
Ale bo jakże odjechać było,
Gdy się tak wdzięcznie społem gwarzyło!...
I czułem zwolna, jak pierś mą skrzepłą,
Rodzimej doli owiało ciepło;
I względy świata jako mgły męty,
Pierzchły na połysk miłości świętéj,
Co jakby słońca ożywczém tchnieniem,
Świat upromienia zamierzchły cieniem.
A kędy błyśnie odblask on złoty
Na życia smugu; wnet dawne cnoty
Wschodzą, bogate zwiastując plony;
I wzrasta bujnie kwiat nieskażony,
Co w barwy jasne, wonne a żywe,
Zwiędłą żywota potrząsa niwę.

O! kto cię nie czci święty płomienin,
Kto zabłąkany w ponurym cienin,
Ugania wiecznie, nieszczędząc trudu,
Ognik wylęgły z ziemskiego brudu,
Co nad plugawém nocą bagniskiem,
Świeci przelotnie gwiazdy połyskiem:
Biadaż mu, biada, bo w steku błota
Zanurzy jasne pasmo żywota!

Toż Bóg dał człeku świętą ostoję,
Gdzie, gdy go zmogą żywota znoje,
Kiedy go niemoc otoczy blada,
Rad ciężkie brzemię chwilowo składa.
Bóg na osłodę tułaczéj doli,
Człeku ognisko rozetlił gwoli
W domowym progu, i w niém na ziemię,
Promień tchnął z nieba na ludzkie plemię.

I któż nie zgadnie, że blask ów święty
Przejął mą duszę, i otrząśnięty
Z światowych mętów, dziękując Bogu,
Do miléj Zosi wróciłem progu?!...
Oj! chyżo koń mój popędził kary
Przez drogi, miedze, pola i jary;

Wnet mi i domek zabłysnął biały,
I lipy świeżą wonią powiały,
I wdzięczna postać w okienku migła.....

— O Panie! — rzekłem — twa niedościgła
Wola mię wwiodła w progi Prandoty,
W święte ognisko rodzinnéj cnoty.
Spraw, niech czczę wiernie czyny i słowy,
W pasmie dni moich płomień domowy.....

***

OBRAZKI PARYZKIE.

Profesor ptaków. — Kucharz koci. — Łupiniarka. — Złoto z miotły. — Pasterz między czterma ścianami. — Fabrykant kości. — Sprzedawca rzadkości literackich. — Nakładca kodeksów.

Czy znacie pana Beaufils? Ciekawa to figura Pan Beaufils, prawie chorowity już starzec, mówi rzadko kiedy, ale zato gwizda bez ustanku. Fabryka jego składa się z ogromnéj klatki; nic niewidać u niego, prócz słowików, ziemb i kanarków. Wszystkie ściany są obwieszone klatkami; klatki stoja na wszystkich meblach, wiszą na suficie, zasłaniają okna. Aż uszy bolą od tego świerku. W pośrodku pokoju stoi baldachin, pod którym staje pan profesor i odbywa swój kurs muzykalny. Z katarynką na kolanach i najpoważniejszą miną w świecie wygłasza potém swoje piosneczki i arye, jak np. „Mknie obłoczek mój pasterzu!“ — albo „Rycerz musi być walecznym,“ albo „Raz z wieczora letnią porą“ i t. p. Zwykły kanarek kosztuje 30 sous, holenderski nieraz 3 franki. Ale gdy po skończeniu edukacyi wychodzi z rąk pana Beaufils, płacą miłośnicy częstokroć cztery razy tyle. Pan Beaufils przyjmuje uczniów na stancyę i podejmuje dyrekcyę ich wychowania nawet za domem. Do tego używa wyuczonych już doskonale kanarków i zamyka je z nowicyuszem, który ma pobierać edukacyę. Tak odbywa kanarek przez sześć do ośmiu tygodni swój kurs muzykalny, poczem śpiewa nieźle dwie lub trzy arye i staje sie pierwszym tenorem lub sopranem w swoim rodzaju. Za tó każe pan Beaufils płacić sobie albo 5 franków za całkowitą edukacyę, albo 10 sous tygodniowo za wyuczenie swego małego profesora. Szkoła śpiewu pana Beaufils znajduje się przy jednéj z ulic w pobliżu Temple; dzielnicę tę obrał dla tego, ponieważ przekupki tamiejszéj targowicy i ich robotnice szaleją za kanarkami, odkąd Eugen Sue wprowadził je w modę swoją Bigolettą.

Zresztą nie do uwierzenia to prawie, jak dalece Paryżanie pielęgnują i pieszczą wszelkiego rodzaju zwierzęta, wyjąwszy konie. Wielu odmawia sobie różnych potrzeb, by chować psa, kota, srokę, papugę i t. p. Na tém zasadza się osobny rodzaj przemysłu. Znam całą rodzinę, któréj członkowie trudnią się tylko łowieniem zgubionych zwierząt, gdyż codzień przyrzekają afisze 25, 50, 100 franków nawet za zgubionego mopsa, gdy tymczasem znika tyle ludzi w naszém życiu socyalném, a nikt w ich odszukaniu nieofiaruje nawet jednego franka. Same żywienie kotów w ludniejszych dzielnicach stanowi osobną gałęź zarobkowania. Z tego żyje między innymi niejaki Bernier i cała jego rodzina, utrzymując formalną garkuchnię dla kotów. Pan Bernier jest rodem z Auvergne; niegdyś handlował węglem, późniéj postawił go przypadek na stanowisku, które dotąd zajmuje. Mieszkał w ludnéj dzielnicy robotników; w każdym domu widział to psa to kota; przyszło mu więc na myśl sporządzać sztukę mięsaj dla jednych, pasztety dla drugich, i z profesyą tą połączył mały handel główkami cielęcemi. Wnet ustaliła się jego sława w dzielnicy; garkuchnia jego niemogła nastarczyć licznym zamówieniom. Dziś upatruje w tém każdy rodzaj obowiązku względem psa lub kota żywić go strawą Berniera; przynajmniéj w dzielnicy Temple trzymają się téj zasady. Bernier jest faktotum tamtejsze: jego garkuchnia zaopatruje niejeden dom w odległych dzielnicach, i niejeden kot salonowy smakuje jego pasztety, po które przychodzą lokaje w liberyi. Garkuchnia Berniera nosi skromny napis: „Pod prawdziwą strawą bydlęcą.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jak czyścić posadzki, drzwi i ramy do okien, na to najlepszy sposób: spiritus *Salmiaku* roztworzony w wodzie sześć-, ośm-, dziesięćkrotnie, im delikatniejszy kolor lub droższy. Bierze się roztwór na gąbkę, albo na szczotkę i pociera z lekka. Nawet i z obrazów olejnych upstrzenie much można bezpiecznie zebrać do czysta dziesięciokrotnym roztworem Salmiaku. Używanie mydła przy czyszczeniu drzwi i okien jest także nie złe, tylko że się pokost ściera.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*